

Rozdział 44.

Wira spotkałam przebywając na moim ulubionym placu NZDelhi, nieopodal grobowca Humajuna, a raczej blisko całego kompleksu, gdyż sam centralny zabytek nie był jeszcze widoczny zza rozległego kompleksu licznych budowli należących do panujących wiek przed Mogołami dynastii. Nad samym placem, ocienionym przepięknymi, starymi drzewami, dominował meczecik afgańskich władców, którzy umieli, mimo bardzo purytańskich zapędów, barwić ściany budowli kolorowymi płytami ceramicznymi, które teraz, dzięki wnikliwej konserwacji, błyszcząły pstrokato i wesoło w słońcu. Przyciągało to papużki, które lubiły kolorowe tło dla siebie samych. W tym zamiłowaniu nie było nic bezinteresownego, gdyż wielobarwne pióra służyły do zlania się z dżunglą, pełną pryzmatycznych deseni owoców i kwiatów. Choć terenów porośniętych dżunglą w NZDelhi nie brakowało, barwna wyobraźnia Afganów znalazła w sercach niektórych ptaszków jeszcze większe uznanie. Zamiłowanie do kolorów miało zatem swój całkiem dramatyczny wydźwięk, który podkreślały kołujące jak zwykle nad NZDelhi sokoły i inni przedstawiciele rodziny orłowatych. W przeciwieństwie do papużek odczuwałam przyjemność obserwując te wdzięczne, pierzaste szybowce, unikające jak ognia machania skrzydłami. Sokoły dzięki swej bystrości i nie byle jakiej mocy obliczeniowej swoich mózgów wznosiły się na kominie powietrznym, po czym przez ponad godzinę potrafiły opadać ze szczytu tej atmosferycznej windy w poszukiwaniu następnej. Jedynie przy lądowaniu okazywały się niezwykle niezdarne, celując niekiedy po kilka razy w celu osiągnięcia własnego gniazda, zaś u celu nieomal go nie zrzucając, ku przerażeniu małżonków i piskląt. Powierzchni ziemi i innych płaskich lądowisk unikały jak ognia, gdyż było dla nich nie lada wyczynem poderwanie się do lotu z ziemi. Lepiej było się rzucić w powietrzną przepaść i tonąc w niej szukać przyjaznych prądów.



- Teraz lepiej rozumiem kwestię bycia twórczą ideą – odezwałam się w końcu do Wira, który też wpatrywał się w ptaki. Jeden z nich, mechaniczny, przysiadł na moim ramieniu i wypuścił z metalowej gardzieli serię dwunastotonową, która zaiskrzyła się w moich coraz bardziej wyczulonych zmysłach. Przeniosłam ten nagły szok dźwiękowy do ogrodu rozkoszy, gdzie Czandni usiłowała mnie pożreć pocałunkami składanymi w najbardziej intymnym miejscu. W innym miejscu, w trakcie wyprawy, oderwałyśmy się od monotonie pięknego spojrzenia w gwiazdy i przytuliły do siebie. W kolejnej lokalizacji uczyniłam wielki, ciemny kleks, który postanowiła rozmazać na modłę Pollocka, którego „sztukę przypadku” coraz lepiej rozumiałam. Jako archeolog otrząsnęłam się nieco z kurzu archiwów, które wertowaliśmy od kilku korzenia.
- Ten organizm również – zauważył Wir, a jego słowa pobiegły od razu do innej dzielnicy NZDelhi, gdzie razem z Klee 7 oglądaliśmy występ tancerzy SNA, w który wplotłam tantrę seksualną używając najnowocześniejszych gestów, harmonii i maści atawistycznych.
- To prawda – zgodziłam się. – Druga szkoła pokazuje nam dobrą drogę do wydestylowania z nas samych pomysłowości. Postulat dodekafonii to narzucenie językowi muzycznemu ciągłych przemian, bezustannych permutacji. Gdy zaś coś się musi powtarzać, nie łądzi wówczas pozorem ruchu. Jest to wtedy dźwięk powtarzający się w każdym takcie na poziomie jednego głosu. Dźwięk wyłączony, jakościowo równoważny z ciszą, lecz dzięki różnym pułapom barwnym wspierający pozostałe aktywniej i to mimo swej pasywności – inny blaszany ptak zaśpiewał, jakby na potwierdzenie moich słów. Gwiazdy za oknem statku kosmicznego nie przesunęły się. A raczej czyniły to w sposób tak nieznaczny, że jedynie niezwykle wyczulone zmysły mogłyby to odnotować. Statek pędził z 98%

procentami prędkości światła. Do kolejnego dogodnego miejsca dla przeskoku przestrzennego pozostawało jakieś pięć lat bez kilku tygodni. Weszła Kadzól i ziewnęła z wdziękiem. Tak naprawdę nie spała, lecz książka, którą ostatnio napisała Czandni, obok ogromnej wartości literackiej nacechowana była celową monotonią. Ona to zapewne była przyczyną owej senności. Teraz nadeszła moja kolej na napisanie czegoś dłuższego. Pocałowałam Rani i udałam się do pokoju literackiego. Kartki i pióra leżały rzucone na niedbałym i malowniczym jednocześnie stosie. Uśmiechnęła się w kilku miejscach na raz. Ta podróż przesuwała ku środkowi moją bardziej ogólną percepcję. Było wiele moich Spojrzeń, które działały w przyszłości wobec tej chwili, jednakże nie miałam zbyt dostępu do owego nadchodzącego czasu, tak samo jak i one nie posiadały dostępu do terażniejszości, którą w tej chwili opisuję. – Właśnie – zwróciła się do Wira, – kwestia zwrotnicy, albo zwrotnic percepcyjnych. Jest wiele moich fragmentów, z którymi nie mam w tej chwili kontaktu, z uwagi na zbyt wielką barierę czasową. Owe wcielenia albo obumrą, albo też zyskają niezależność. W ten sposób rozmnożą się bezwiednie, mimo woli, podobnie jak roślina, która ma wiele odrostów. Interesuje mnie zatem kwestia zwrotnicy percepcyjnej. Na razie jest ona ustawiona automatycznie, w punkcie, gdzie istnieje największa zgodność odczuwania czasu i prędkości metabolicznej. Oczywiście byłoby lepiej, żeby to owa część najbardziej aktywna, najbardziej pomysłowa była zwrotnicą.

- Lepiej mieć wiele zwrotnic – zauważył Wir z uśmiechem, – ale kiedyś trzeba stawiać pierwsze kroki.
- Najzabawniejsze jest to, że nie mam dostępu do siebie zachodzącej w przyszłości wobec tej chwili – zaśmiałam się. – To rzecz jasna subiektywne doznanie. Rozmowa z tobą jest tak naprawdę moim wspomnieniem, które dopiero teraz sobie uświadamiam. Co jednak ciekawe, ona zawsze brzmiała tak samo, czyli i wówczas, gdy byłam

nieświadoma wobec czegoś, co jest Gauri, mówiłam, że jestem nieświadoma etc. Kto wtedy to mówił?

- Z pewnością ktoś, kto sądził tak samo jak ty, że jest Gauri – zauważył Wir, zaś nasze kroki doprowadziły nas do przepięknej bryły grobowca Humajuna. Aligatory w sadzawkach namnożyły się jeszcze, więc trzeba było stąpać ostrożnie. W ogrodzie rozkoszy usiadłam z nimfami pod wielkim drzewem. Wydawało się nam, że cienie padające przez liście pieszczą nas mocniej, niż normalną osobę płci żeńskiej poruszać by mógł lingam zatopiony w bramie płodności. Tak też było. Starannie dobrany rytm oddechów i precyzyjne dotknięcia palców namaszczonych atawistycznym kremem wyczulały skórę i kilka innych zmysłów na natężenia fal elektromagnetycznych. Przyjemności tej Rani nadała nazwę „oplatania rytmu pejzażu”. Musiałam zacząć pisać wiersz, pewna, że wyjdzie coś udanego. Nie pisałam go już w archaicznym języku przejętym z Ziemi i nie był on też na niego przetłumaczalny. Dlatego go nie przytoczę.
- Tym nie mniej istnieje większa masa obliczeniowa „Gauri”, którą teraz jestem, gdy napływam w ślady tej, która była tu przede mną. Można by rzec, że napełniam chwilę, która już była silniejszą refleksją – zauważyłam.
- Musiałas zahaczyć o kilka innych wszechświatów – zdecydował Wir, – to daje ci w rezultacie tego typu interesujące paradoksy.
- Też tak sądzę – zgodziłam się z nim, – ale tym bardziej powinnam skupić zwrotnicę w najbardziej aktywnych przeobrażeniach. Natomiast głosom polifonicznym, które przebywają najdalej od niej, muszę narzucić neutralność, tak jak narzucają ją martwym głosom dodekafoniści.
- Przypuszczam, że to da się zrobić – zauważył Wir. Minęliśmy sylwetkę monumentu i znaleźliśmy się w tylnej części ogrodów, gdzie majaczyła w dali sylwetka świątyni Sikhijskiej oraz dworca Nizamuddin, obok Nowego Delhi i Starego Delhi największego w mieście. Nie szliśmy jednak

w tamtą stronę, gdyż przy jednym z mniejszych pawilonów, zapewne grobowcu jednego z wezyrów, mieścił się portal przestrzenny, jeden z pierwszych w NZDelhi. Wydawało się, że na wijących się elegancko, żelaznych ramach, zawieszony jest obraz, albo raczej trójwymiarowy ekran telewizyjny ukazujący jakiś plac nad brzegiem oceanu. Niebo miało barwę nasyconego fioletu, zaś słońce wydawało się ogromne i świeciło zielonkawo, jednakże nie na tyle mocno, by zamienić ocean w gorącą pustynię. Świeciło słabiej niż gwiazda NZDelhi, ale też było bliżej. Patrząc na bramę z ukosa można było zauważyć widoki spoza ram, zaś oglądając ją od tyłu widziało się jedynie pusty łuk nad ziemią, bez żadnego obrazu. Wiatr i zapachy kwiatów biegły przez niego swobodnie.

- Będziesz mi musiał pomóc – poprosiłam, zaś Wir przytaknął uśmiechając się przyjaźnie. – Masz ochotę pójść do Nowego Agadiru? – zapytałam. – Jestem tam umówiona z Mimarką.
- A kto to jest? – zainteresował się Wir.
- Dzin mogolskiego architekta, a raczej pani architekt – odparłam. Z trawy przy grobowcu Humajuna wyrastało wąskie wyjście z metra, ledwo zauważalne na tle przyrody. Jeden z moich poddanych zdradził je wychodząc i skłonił mi się uroczyście, ja zaś odpowiedziałam pozdrowieniem. Po chwili robot wszedł do portalu i przez minutę jego sylwetka zmniejszała się podążając w stronę morza, po czym skręciła w boczną uliczkę i znikła.

Podążyliśmy w jego ślady. Pierwszy raz przechodziłam przez tego typu bramę, bo też nie od tak dawna istniała na NZDelhi taka możliwość. Podchodząc do niej poczułam zapach morza i powiew ciepłego powietrza, oznaczający, że temperatura w połączonej portalem części Nowego Agadiru jest wyższa, niż na NZDelhi. Nowy Agadir był naszą pierwszą kolonią, zaś orbitę mieszczącą ją planety udało się zmodyfikować na potrzeby stałego połączenia z metropolią. Niebawem tego typu komunikację będziemy mieć z większością pozostałych kolonii –

z Bhairawą, z Tarą, z Karną i z Ardżuną. Wszystko też wskazuje na to, że zasobnej w rzadkie surowce Nowej Kuruksztetry nie uda się tak skomunikować i nadal trzeba będzie miesiąca podróży do najbliższego podatnego na skok podprzestrzenny miejsca, zaś aby się przedostać nadal trzeba będzie uzyskiwać odpowiednie przyspieszenie grawitacyjne i natężenie rezonansu elektromagnetycznego, wszystko to raczej dość zgubne dla powierzchni większości planet. Gdy osiągnęliśmy już portal, stanęłam jedną nogą na NZDelhi, drugą zaś na Nowym Agadirze. Nie mogłam sobie odmówić tej dziecinnej przyjemności. Spojrzenie Wira pokręciło głową na znak rozbawienia i na poły żartobliwego upomnienia. Rzeczywiście, stanie w środku portalu nasuwało pewne niewielkie ryzyko. W razie nagłej zmiany w okolicznej czasoprzestrzeni komunikacja mogła zaniknąć, co spowodowałoby natychmiastowe rozerwanie mnie na pół. Cóż, dzięki polifoniczności była odporna na wypadki. Zniknięcie jednego z moich fragmentów nie było dużą komplikacją niż nagłe zniszczenie Spojrzenia. W zasadzie było tym samym. Tego typu zmiany zdarzały się zresztą niezmiernie rzadko, głównie dlatego, że dbano o dokładne wyznaczenie stabilności portalu. Tymczasem fascynowała mnie właśnie jego stabilność, owocująca choćby językami nadmorskiego piasku naniesionymi na trawę kompleksu Humajuna, z drugiej zaś strony siewkami ogrodowych roślin. Jakiś pająk uwił sobie nawet międzyplanetarną pajęczynę i zdołał już złapać kilka much, czyli innymi słowy nieświadomych i niezbyt szczęśliwych kosmonautek.

W tym samym czasie (wybacz Czytelniku, że nadużywam tego zwrotu, lecz cóż mam czynić innego?) osiągnęłam wraz z kilkoma archeologami Kuberiańskimi i mechanicznymi orbitę Kubery. Na powierzchni księżyca zainstalowano już kilka wind orbitalnych, na których szczycie znajdowały się doki i stocznie. Skonstruowano właśnie okręt nazwany dumnie i nieco patetycznie (obraz). Jako, że powstał w próżni kosmicznej nie musiał posiadać w żaden sposób aerodynamicznych kształtów, w przeciwieństwie do kilku lądowisk atmosferycznych, które

znajdowały się na jego pokładzie. Forma statku, elegancka dla Kuberian, starym ziemskim zmysłom musiałaby się wydać pokraczna. Różnego rodzaju wypustki i załomy skojarzyłyby się Ziemianinowi z obiektem wydartym z głębin złomowiska. Również pstrokata i niedbała kolorystyka kadłuba musiałaby dopełnić tego efektu. Oczywiście Kuberianie nie widzieli tych barw, zaś kolory dla nich widoczne dawały taki właśnie, a nie innych poblask w oczach istoty z Ziemi. A raczej człowieka z Ziemi, gdyż inne ziemskie zwierzęta spostrzegały kolory inaczej. Przed startem kosmicznego okrętu nastąpiło wiele okolicznościowych przemówień, tak charakterystycznych dla budzących się do istnienia cywilizacji. Być może moja indyjska natura sprawiła, że wzruszyłam się nimi mimo wszystko, choć odtwarzając później nagrania dziwiłam się niekiedy moim nieco naiwnym odruchom. W końcu włączyły się silniki i zaczęła się podróż. Udaliśmy się w stronę planety, z której pochodziły istoty, jakich obecność udało nam się odkryć na stanowisku archeologicznym obraz. Podróż nie miała trwać długo, choć dla szybkiego, Kuberiańskiego metabolizmu te kilka miesięcy w miarach Ziemskich stanowiło i tak pewne wyzwanie. Okres podróży nie był długi dzięki mieszczącemu się po drodze portalowi czasoprzestrzennemu o wciąż czynnej konfiguracji. Na nasze życzenie został sprawdzony przez (...). Działał i był bezpieczny. Sama planeta, z której pochodzili twórcy naszych znalezisk była obecnie w pełni wymarła, przynajmniej tak zaznaczono ją w atlasach gwiazdnych cywilizacji (...) i (...), dość dobrych, zasługujących na zaufanie. Zwłaszcza istoty (...) odbiegały swoją formą i mentalnością od ludzi i Kuberian (bardzo podobnych do siebie na skali kosmicznej różnorodności), tym nie mniej miały za sobą wiele wieków badań nad zróżnicowaniem zapełniających wszechświaty stworzeń. Istoty (...) sięgały swoją wiedzą i spostrzegawczością piątego stopnia różnorodności. Skala była następująca – pierwszy stopień oznaczał postrzeganie jedynie istot podobnych, czyli takich jak moje roboty, Ludzie i Kuberianie względem siebie i względem postrzegającego; drugi stopień oznaczał postrzeganie istot podobnych do tych związanych z Planetą Wirów itp.,

trzeci stopień pozwalał widzieć istoty pochodzące z mgławic, słońc i innych bardzo egzotycznych środowisk w stosunku do postrzegającego (oczywiście dla gwiazdnych istot dostrzeganie mieszkańców planet byłoby owym trzecim stopniem dostrzegania); czwarty stopień pozwalał widzieć istoty mieszkające w analogicznych, lecz trochę odmiennych wszechświatach, a także postrzegać egzotyczne byty we własnym wszechświecie wpływające z tak zwanych zetknięć stałych i okresowych (bliskie sobie wszechświaty stanowiły w swoich zetknięciach odrębne i synkretyczne środowisko); piąty stopień odchodził od czwartego o jedno oczko w odmienności odrębnych wszechświatów, oraz pozwalał widzieć bardziej jeszcze egzotyczne zjawiska we własnym. I tak dalej, nie wydaje się, aby istniało ograniczenie dla ilości stopni. Najbardziej zaawansowane poznawczo istoty sięgały wielotysięcznych stopni, a mogłam się o nich dowiedzieć i je poznawać dzięki temu, że to one chciały nawiązać ze mną kontakt. Słoneczny był jedną z takich istot, choć starał się przybierać maskę ogromnej prostoty. Mimo to, im wyższy poziom sama zyskiwałam, tym łatwiej było mi w nim dostrzegać przebłyski zimnej i płodnej kosmicznej głębi. Pewne gesty, wyrwane z kontekstu zdania, nagłe intuicje mówiły o daleko posuniętym stopniu zaawansowania tej niezwyklej istoty. Tym bardziej czułam się zdziwiona, że przyciągnęła go moja ciekawość, o ile można ją w skrócie nazwać „moją” a jego „nim”. Jedynym wytłumaczeniem jest oczywiście przypadkowość Natury, ja zaś mogę się jedynie cieszyć, że akurat zwitek zdarzeń i uwarunkowań będący akurat „mną” znalazł się w zasięgu tego zjawiska.

W tym samym czasie leżałam w ogrodzie rozkoszy, zaś nimfy całowały moje stopy, nie licząc Rani, która była nade mną i stała się obiektem moich pieśczoł. Ta tantryczna medytacja pokrywała się z drugą, polegającą na patrzeniu w gwiazdy na pokładzie statku kosmicznego, gdzie byłam z tymi samymi towarzyszkami. Powolne, niedostrzegalne przesuwanie się czerni mieszało się z rytmem unerwienia ciała, kłanego i dotykanego w jego najbardziej czułe punkty. Zapach nocy mieszał się z

wonią moich ukochanych, obydwaj zaś były dziełem tego samego wszechświata, tworem przypadkowym i przez to szczególnie pięknym, gdyż jak wiemy ów przypadek narastał, działał generatywnie, tworząc coraz bardziej złożone konstrukcje używając praw fizycznych jako swego rodzaju stopni, po których stapał. Czując rozkoszne pulsowanie w udach pomyślałam o tym, kiedy w większym zakresie spróbujemy atawistycznych zespołów w innych formach, obdarzonych innymi konfiguracjami płciowości i odmiennymi organami do wkładania ich w ciało/ciała partnera/partnerów. Oczywiście dwupłciowość była dość częstym zjawiskiem, gdyż, obok przypadkowego przekazywania materiału genetycznego, była najbardziej ekonomiczna. Tym nie mniej przebiegała w różny sposób.

Weszliśmy z Wirem na jedną z wysp Nowego Agadiru. Cała planeta była jednym wielkim oceanem, na którym rozrzucone były atole, archipelagi. Największa z wysp nie przekraczała swoim rozmiarem Sri Lanki, najmniejsze były wielkości drobnych kamieni. Ozdobne statki w stylu mogolskim, pięknie ukrywające swoją nowoczesność żaglowce, musiały zatem uważać na rafy. Przywitała nas Mimarka, żon architektki analogicznej do tego, co udało się nam dowiedzieć na temat Nur Jahan, oraz budowli wznoszonych przez anonimowych architektów, choć imiona wielu z nich, a także po części artystyczne wizje, również te nie zrealizowane, odkryliśmy dzięki wykopaliskom, gdyż kopia warstw archeologicznych z Delhi była w NZDelhi całkowicie identyczna, do głębokości kilometra, lub dwóch. Podobał mi się turecko – indyjski uśmiech Nur Jahan, a także jej arystokratyczne maniery elegancko zmieszane z wdziękiem młodej i władczej kobiety. Wpierw, skłoniwszy się mi lekko, zaprowadziła nas do pałaców mieszczących się na wyspie, do której wiódł portal. Obszar tego skrawka lądu był niewiele mniejszy od miasta NZDelhi. Wyspę pokrywał las tropikalny, zaś głęboko wcięte zatoki sprawiały, że ocean był wszędzie widoczny, mimo stosunkowo dużej powierzchni lądu. Mewy, albatrosy i inne, niekoniecznie ziemskie latające stworzenia nawoływały się nad nami, wplatając swoje ekspresyjne krzyki w

ciszę rozedrganą dalekim i bliskim szumem fal. W atmosferze Nowego Agadiru było trochę nieznanymi na Ziemi związków chemicznych, które nie były szkodliwe dla organizmów ziemskich, a jednocześnie niezbędne dla organizmów z księżyca (...). Miałam przez to wrażenie, że powietrze przesycone jest wonią jakichś bardzo niezwykłych kwiatów, albo kadzideł, zaś zabarwienie nieba, inne poprzez mniejszą i bliższą zielonkawą gwiazdę było jeszcze bardziej nierealne. Miało się wrażenie, że każdy kąt drzewa, czy budowli faluje nad jakimiś pryzmatycznymi krawędziami, tak namacalnymi, że odruchowo starałam się je omijać, co nieodparcie rozśmieszało Mimarkę i Wira. Artystka zdołała już zapełnić wyspę wieloma budowlami, które, w przeciwieństwie do swoich ziemskich odpowiedników, miały wielowymiarowe krawędzie, a także stosowały śmieiej synestezje czasowo – przestrzenne i dźwiękowo – obrazowo – kształtne. Większość z konstrukcji nie miała jeszcze wyraźnego przeznaczenia, lecz ja czułam się szczęśliwa z pustki i potencjalności, w której ta architektura jawiła mi się jako nagły wybuch wiosny. Byłam zachwycona.

- Mam nadzieję, że niedługo wybudujesz coś w stolicy – rzekłam do Nur.
- Bardzo chętnie – odparła Mimarka swoim łagodnym, nawykłym do tureckiego głosem. Z pewnością znała ten język. – Czy wasza wysokość mogłaby mi polecić jakąś lokalizację.
- Ram Nagar – odparłam od razu. – To taka dzielnica przy brzegu Jamuny, nie tak daleko od placu Connaught'a. Jakieś trzy kilometry od niej mieści się filharmonia Pierwszej Szkoły. Posiada zwykłą, choć całkiem przyjemną architekturę z czasów ziemskich. Nie ma zatem wiele działek budowlanych, tym nie mniej wydaje mi się, że gdzieś można by umieścić rampę na słupach.
- Jak tylko skończę Świątynię Nauki, zajmę się tym, wasza wysokość – ucieszyła się Mimarka i ruszyliśmy niekończącymi się kruzgankami madras przy pałacu gubernatora. Jeszcze go nie wybrano, gdyż Nowy Agadir

miał mało ludności, z uwagi na problemy stwarzane w okresie pierwszej kolonizacji przez Antyżera.

- Trzeba będzie też doprowadzić tu metro – zauważyłam, myśląc o zainteresowaniu planetą moich poddanych.
- Połączycie nim wyspy? – zaciekał się Wir.
- Szkoda psuć urok morskiej podróży – odparłam. – Wolę, żeby linie łączyły się z sobą w NZDelhi i miały swoje końcowe stacje na najważniejszych wyspach Nowego Agadiru.
- Wtedy najszybsza podróż pomiędzy wyspami Nowego Agadiru wiodłaby zawsze przez portale przestrzenne i NZDelhi – powiedziała Nur. – Będę musiała pomyśleć o tym projektując stacje.
- Przydałaby się kolejna nakładka – wyraziłam kolejną myśl. – To znaczy chciałabym, aby końcowe stacje wielu linii nzdelhijskich wiodły na Nowy Agadir, później zaś na jeszcze inną naszą kolonię, gdzie szybki transport wewnętrzny jest utrudniony z tych czy innych przyczyn. Każdy kolejny tego typu glob chciałabym dodawać w charakterze kolejnych warstw komunikacyjnych.
- Dobra myśl – pochwalił mnie Wir, – o ile tylko podtrzymywanie portali nie jest zbyt kosztowne energetycznie.
- Na Nowym Agadirze są one trwałe – co oznaczało, iż raz zainicjowanie nie potrzebowały żadnej energii z zewnątrz, chyba, że zmieniały się warunki połączonych obiektów. – Niesamowita jest ta ogromna budowla z niezwykłą kopułą – zwróciłam się do Nur. – Czy te zielone wstęgi mające w dali, to są jej ogrody? Czy też nakłada się na to jakiś widok z oddali?
- To są ogrody przy tej sali koncertowej – odparła Nur. – Ludwik organizuje w niej filię Pierwszej Szkoły. Szefem tej placówki będzie najprawdopodobniej (...) z planety (...).
- Z planety (...)? – zdziwił się Wir.
- Z mgławicy (...) – poprawiła się Mimarka. – Jestem trochę roztargniona – dodała przepraszająco, a wiatr od morza

szeleścił w jej królewskiej sukni marszczącej się w wielkich, pastelowych falbanach. W twarzy artystki widać było tureckość. Miała dość wyraziste kości policzkowe i leciutko skośne oczy. Jej włosy i oczy były ciemne w inny sposób niż moje. – Aby założyć ogrody użyłam przestrzeni typu (...) zaplątanych w strukturę (...). Osiągnęłam efekt nałożenia się przyrody na surową geometryzację murów, w których zastosowałam rytm 18 na 13. Sprzyja to lekkim dysonansom widocznym na załamujących się w wielowymiarowości narożnikach. Kopułę wsparłam na pendentywach, lecz część z nich wyrzuciłam wymiarami (...) i (...) w stronę ogrodów. Tam tworzą mostki. Można zatem przechodzić nad wiszącymi w częściowej próżni sadzawkami i jednocześnie oglądać od góry wnętrze auli koncertowej.

- Musimy tam pójść i zobaczyć stworzone przez ciebie cuda! – zakrzyknęłam zachwycona.
- Budowla jest wielkoskalowa, proponuję więc skorzystać z transportu miejskiego, wasza wysokość – rzekła Nur i dmuchnęła w zupełnie zwykły gwizdek. Po chwili przybiegł pojazd kroczący typu (...).
- Wypożyczony z (...)? – zapytałam, gdy weszliśmy do kołyszącej się miarowo gondoli.
- Tak, wasza wysokość – rzekła Mimarka. – Z uwagi na wyraz urbanistyczny całości zdecydowałam się na pojazdy szynowe, jednakże jeszcze ich tu nie instalujemy, gdyż nie wszystkie połączenia centralnych wysp zostały objęte planem zabudowy.
- Czemu to się tak wlecze? – zdziwiłam się.
- Kwestia pływów, wasza wysokość – wyjaśniła Nur. – Bliskość gwiazdy układu powoduje silne ruchy oceanu, ale chcielibyśmy umieścić nad Nowym Agadirem jakiś księżyc. Dało by to wspaniałą polirytmie wzajemnych oddziaływań, który to efekt jest na oceanicznej planecie nie do pogardzenia.
- Problemem są stałe portale – zauważyłam.
- Tak, wasza wysokość – przytaknęła Mimarka usuwając z

czoła zagięty mogolski loczek. Wyglądała zupełnie tak, jak piękne damy z XVII wiecznych miniatur. Nawet używane przez nią perfumy uczynione były na bazie receptur z tej odległej epoki. Pachniały wspaniale, choć bardzo odurzająco. Pomyślałam, że pożyczę od niej jeden, lub dwa słoiczki. – Jednocześnie dla mojej architektury księżyc jest niezbędny. Musi wisieć nad kopułami i minaretami, odchodzić i zbliżać się w rytmie swoich kwadr.

- To oczywiste – zgodziłam się z nią. Nie było zatem wiadomo, jaki obszar będzie pogrążał się w falach podczas przyptywu, co rzecz jasna uniemożliwiało sporządzenie dokładnego planu zabudowy i wytyczenie linii tramwajowych. Pojazd kroczący zatrzymał się ze stylowym, metalicznym rykiem. Jak gigantyczny, żelazny wielbłąd złożył pod sobą swoje nogi, dzięki czemu gondola znalazła się prawie na powierzchni ziemi i mogliśmy wygodnie wysiąść. Przed nami widniał mur sali koncertowej wzbogacony rytmami ryzalitów, nisz i załamań. Była w nim odczuwalna pełna pasji monotonia, tak charakterystyczna dla mogolskich obramień. Przeszliśmy majestatyczną bramą w kształcie wydłużonego pawilonu, gdzie otulił nas przyjemny chłód zmieszany z melancholijnym dźwiękiem fletów nawiązującym do kompozycji Ludwika i Mozarta. Instrumentem były tu wieloprzestrzenne szyby wentylacyjne, w których najmniejszy podmuch wiatru wzbudzał miliony tonów harmoniczných. Melodie mogły się zmieniać bez końca, nigdy się nie powtarzając, jednocześnie odpowiedni modus całego założenia sprawiał, że zawsze były tonalne, choć w zależności od pogody zmieniały swoje tonacje od durowych na molowe.
- To gra bez swoich pośredników sama natura – zaśmiała się Nur wsłuchując się w otaczające ją dźwięki. – Zadbałam, aby wyciągnąć z niej ile się da – szeroki, miły uśmiech zajaśniał na jej twarzy odsłaniając perliste zęby.
- Piękny, stary pomysł – dodałam, skłaniając Wira, aby się

skupił. – Już na starej Ziemi budowano dzwony wiatrowe, ale znakomita architektura i wielowymiarowość dają niemal nieograniczone możliwości – gdy wyszliśmy na pierwszy dziedziniec, poczuliśmy opór charakterystyczny dla wielkiej sztuki. Wszystko nas zatrzymywało. Rozbuchane melodie form i misterne gry światłocieni rzucone przez detale architektoniczne. Płaskorzeźby i dźwiękokszały zdawały się tańczyć wokół nas jakąś ragę, jak przystało na mogolskie posągi, nawet jeśli służyły Pierwszej Szkole.

- Proszę się nie martwić, wasza wysokość – rzekła Mimarka odgadując moje myśli. – Filia SNA jest już w toku realizacji na innej, dużej wyspie. Mam nadzieję, że również wam się spodoba.
- Z pewnością – odparłam szczerze, zaś artystka ucieszyła się komplementu i pobiegła przed nami tanecznym krokiem. Weszliśmy na kolejny dziedziniec, gdzie nagromadzenie aktywnych kształtów było jeszcze większe. Architektoniczne instrumenty brzmiały tu jak skrzypce, fortepiany, wiolonczele i altówki. Dawało się w nich odczuć tematy najbardziej znanych dzieł Ludwika. Rozwijała je bez przeszkód natura dmuchając wiatrem. – Jestem zachwycona! – zakrzyknęłam szczerze wzruszona. – Powinnaś konstruować jak najwięcej budowli nie służących nikomu, będących tylko muzyką.
- Naprawdę? – spytała Nur, ocierając policzek. – Marzyłam o tym, ale wahałam się spytać. Mam tyle pomysłów...
- To realizuj je śmiało i wymyślaj nowe – zapewniłam ją pospiesznie. Po czym zamilkłam, bo urzekła mnie bez reszty naturalna transpozycja sztuki Ludwika.
- Wasza wysokość też się doczeka „naturalnych z pierwszej ręki rag” – wtrąciła Mimarka, gdy już trochę posłuchaliśmy. – W filii SNA oczywiście. Udało mi się znaleźć odpowiednią geometrię dla przebiegów mikrotonalnych, takie wielowymiarowe gardziołko... – zaśmiała się. – To ostatni dziedziniec, wyrzeźbiono w nim też wiersze waszej wysokości, te, które zostały

wykorzystane przez Ludwika albo jego uczniów.

Były tam nie tylko moje wiersze, ale też tańczące symbole i znaczenia, które z nich wypływały. Muzyka Pierwszej Szkoły spoczywała przy nich, mieniła się i jednoczyła z nimi. Efekt był na miarę talentu plastycznego Klee 7. Siła oddziaływania naszej cywilizacji narastała. To szczęście mieć u siebie tylu wielkich artystów. A podstawą dla nas wszystkich był i jest, bądź co bądź niestrudzony Ludwik. Jakże ja go podziwiam! Już jego ziemskie dokonania były niezrównane. Symfonie – piąta, szósta, siódma i dziewiąta. Sonaty na skrzypce i fortepian. Koncerty fortepianowe czwarty i piąty, sonaty fortepianowe, kwartety smyczkowe, tria. Koncert skrzypcowy. Niesamowite, zupełnie niesamowite. Teraz wszystkie te perły myśli, uczucia i światła zostały pomnożone o wielkie liczby. Sonat fortepianowych było kilkanaście tysięcy. Kilkaset symfonii i koncertów na różne instrumenty. Puszcze niezmierzone muzyki kameralnej. No i wokalistyka. Ją Ludwik rozwinął w pełni dopiero na NZDelhi, racząc nas dziesiątkami oper, oratorium i ceremonii ku czci Nauki, Sztuki i innych twórczych sił Natury. W ślady mistrza szli uczniowie. Przynajmniej kilkunastu z nich było geniuszami, z czego połowę stanowili przybysze z innych planet, tak samo zresztą w SNA. Pośród młodego narybku zapowiadało się wiele nowych arcytalentów. Było też kilku wybitnych twórców synkretycznych, którzy korzystali z doświadczeń zaczerpniętych z kilku szkół. Oczywiście było połączenie wiedzy zaczerpniętej z Drugiej i Pierwszej Szkół. Ale zdarzali się też tacy, którzy łączyli wiedzę zaczerpniętą od Ludwika z moją, albo ze Staroegipską, albo Irańsko – Arabsko – Turecką, jak nazywała się kolejna szkoła i filharmonia, zwana prosto makamową.

- Chciałabym, abys współpracowała szczególnie ściśle z Akademią Makamową – rzekłam do Mimarki, – ściśle połączenia ich systemu z twoją muzyką musi przynieść rewelacyjne efekty – kopia filii Pierwszej Szkoły była absolutnie olśniewająca. Ciężko było pojąć poetycką

lekkość z jaką masywny, kamienny czepiec podrywał się w górę. Odruchowo cofnęłam się do tyłu i nagle poderwałam się nad powierzchnię posadzek i jednocześnie znalazłam się w ogrodach i na pendentywach dźwigających kopułę. Był to prosty efekt, ale zastosowany z absolutną precyzją działał niesamowicie. – Jaki piękny jest wszechświat! – zakrzyknęłam, zaś moi przyjaciele zaśmieli się z mojej prawdomównej naiwności, którą zresztą w pełni podzielali.

Nagle, w tym samym momencie i nie w tym samym czasie, znalazłam się na planecie, która była celem mojej wyprawy z ukochanymi nimfami. Najwyraźniej zwrotnica percepcji podpłynęła pod tę jej cząstkę, która była usytuowana na Nowym Agadirze, w NZDelhi i, być może, w trakcie wyprawy kuberiańskiej. Co do Planety Wirów nie mogłam być jeszcze pewna. Znalazłam się w świecie przenikających się kręgów na powierzchni jakiegoś oceanu. To co żywe, co ewoluowało było powierzchnią, wnikało też w głąb w postaci napięcia na bańkach wypełnionych w środku nieaktywnym gazem. Byłam spojrzeniem chwiejącym się w dyfrakcjach. To chyba one, dyfrakcje, spełniały rolę myśli, wrażeń percepcyjnych. Jedno z odbić kręgów, ich wzór migotliwie głęboki, spłynęło wszędzie tam gdzie byłam. Zaczęła zatem działać doktryna „monety najbardziej aktywnej myśli”. Wspaniale! Byłam nią, aktywną, narastającą, śpiewną. Odczuwałam płomienie fal elektromagnetycznych przechodzących przez moje prawie dwuwymiarowe ciało. Wiedziałam (...) i (...), coś, czego nie mogę ci przekazać w tym języku Czytelniku. Byłam też tutejszą faunoflorą, nie zaawansowanymi w ewolucji egzotermicznej cząstkami tutejszej biosfery. Widziałam pola, bąble, złożone z różnych rzadkich stopów i ich elementów podległych wspaniałej, a gwałtownej miniaturyzacji. Dostrzegłam rozciągnięcia falowych płaszczyzn tworzące swego rodzaju loki wokół planety, loki dalekie, bo sięgające gwiazdy układu, zaludniające ją nowymi kręgami. To było niezwykle, życie cywilizacji Dyfrakcyjnej (nazwijmy ją tak), toczyło się podobnie na

chłodnych globach układu, jak i w samej gwieździe. Transpozycja mediów niosących struktury była idealna. Dyfraktów nie obchodziło, czy składają się z zimnego oceanu, czy gwiazdnej magmy. Również ich kryteria wielkości i odległości były znacznie bardziej dowolne, niż u innych istot, z którymi miałam do tej pory do czynienia.

Jednocześnie, w innym oceanie, dużo bliższym ziemskim standardom, w postaci kilku waleniopodobnych gigantów (...) oddawałam się tantrze z nimfami i Klee 7. Splecieni w płodnych i zmysłowych ruchach otaczaliśmy się mgłami barwników atawistycznych na wzór substancji (...), czegoś w rodzaju pyłku kwiatów istot (...). Pieśni ekstazy przenikały gęstą cieczą planety. Nasze płetwy drgały w rytmicznym tańcu, receptory zmysłowe lśniły tajemniczo odległymi zmysłami.

Jednocześnie byłam już tożsama ze spokojem rzeźb z Kadzuraho. Oplatałam biodra Czandni w męskiej postaci i przebywałam tam nieprzerwanie, czując wypełniający mnie lingam, wiercący się i tryskający bez końca. Moje powieki nabrały bardziej migdałowatego kształtu i patrzyłam spod ich półprzymknięcia wzrokiem ślepym i zarazem bardzo bystrym. Drobne, niewidoczne i szalenie precyzyjne ruchy naszych ciał brzmiały rozległe w splotach nerwowych, zmieniających się i mutujących od rozkoszy. Czułam wylewające się ze mnie rasy. Widziałam ogromne obszary wypełniającą wszystko miłością, tęsknotą, spokojnością, grozą, walecznością, królewskością, obrzydliwością, radością i chwałą. Piszę „ja”, „ze mnie”... To rzecz jasna nieprawda. Mogę tylko rzec, że były rasy i są, zaś niekiedy złudzenie mojej osobowości iskrzy się w nich, niekiedy wygasa. To wszystko i aż tak wiele. Teraz jest zgaszone, ale mogę pisać, bo używam języka, który wydaje mi się coraz prostszy. Choć nie opowiem ci czytelniku o (...) i wielu innych rzeczach. Jeśli jesteś podobny do Ziemi, których opuściłam, nie mógłbyś tego zrozumieć, nawet gdybyśmy mogli znaleźć wspólny język. Dlatego coraz więcej wielogłosowych wątków Gauri zamyka się dla tej powieści.

Przypomina to „Symfonię Pożegnalną” Haydna, gdzie na koniec muzycy zaczynają gasić świecę przy których grali i powoli wychodzić. Na koniec z całej orkiestry symfonicznej (która w owych czasach niekiedy, po prawdzie, nie sięgała dwudziestu osób) pozostają dwóch skrzypków. My, drogi Czytelniku, nie będziemy mieć tego szczęścia, również skrzypkowie odejdą, choć, być może, symfonia pozostanie (jeśli jeszcze czytasz, jest to możliwe)...

Na Nowym Agadirze widziałam tymczasem wiele warstw czasowych nakładających się na siebie. Byłam w budynku filii SNA, a widziałam go jako zbudowany, budowany i dopiero wymyślany. Wir i Mimarka byli ze mną i nie zarazem. Widziałam swoje słowa jako jakąś magmę, miliony nakładających się wypowiedzi, z których wszystkie już zaistniały i jednocześnie muszą jeszcze zaistnieć. Pamiętałam je już od dawna, a jednocześnie musiałam je jeszcze stworzyć. Wiedziałam o nich wszystko, ale były też nowe i zaskakujące. Zajęłam spory odcinek tunelu w czasoprzestrzeni, w który wielu się wgryza chwila po chwili. Oczywiście nie mogłam zmienić jego kształtu, ale byłam w nim całym, widząc na wpół rozmyte postacie, spotykając się naraz z tą samą osobą etc. Niesamowicie było błądzić po mogolskiej architekturze, której kopuły i minarety znikają, pojawiają się, podobnie jak mieszczące się w budowłach instytucje i stanowiący je ludzie.

Postanowiłam w całym tym chaosie poszukać wyjścia. Nie żebym czuła się z nim źle. Wręcz przeciwnie, możliwa dla mnie na razie do dostrzeżenia Rzeczywistość to chaos i harmonia zarazem. Do tej pory widziałam tylko jedną stronę medalu, czyli harmonię. Odkrycie chaosu stało się dla mnie inspirującą chwilą i nader potrzebną. Ale jak każda neofitka przeszłam ze skrajności w skrajność. Najciekawsze było coś, co nazywam zjawiskiem Tary. Otóż wiele moich obecności obumierało i będzie obumierać. Jeszcze zanim zaczął się chaos, tak było. W jakimś sensie nieżywe dla mnie są fragmenty, które w pełni się uniezależniły. Kiedyś oczywiście cała Gauri umrze i nie będzie

z tym problemu. Lecz na razie byłam jeszcze młoda, więc ogólnie, w stosunku do jakiejś mojej średniej, raczej nie powinnam jeszcze sporządzać testamentu. Ale uśrednianie ma tę zaletę i wadę, że pomija zjawiska ze skrajów skali. Oczywiście byłam też obecna w miejscach wymagających szybkiego metabolizmu i tam, po części, nie raz już umarłam. Po śmierci następuje całkowita zagłada osobowości, a raczej jej złudzenia. To co było przed naszym urodzeniem dzieje się po naszej śmierci. Jest to po prostu cały piękny świat bez nas. Gdy jednak istnieje się wielogłosowo i to do tego w warunkach szaleńczej burzy czasoprzestrzennej jaką powoduje ustalenie najbardziej twórczych myśli stożkiem wzrostu tej całej polifonii, pojawiają się niezwykle zjawiska, dzięki czemu mogę tobie pisać, Czytelniku, o rasach odrażającej i przerażającej. I pogłębiać te dwa uczucia w postaciach żeńskich i męskich w trwałej kopulacji z moimi ukochanymi, w naszych zwielokrotnionych parach i nie tylko parach, nie tylko humanoidalnych etc.

Otóż zwrotnice percepcji wrzucały mnie i wrzucają niekiedy w moje konające fragmenty, a nawet, w zależności od tego jak wysokie zdolności przetrwalnikowe mają inne moje Spojrzenia, otwierają na moment zmysły umarłych, niejako podgrzane impulsem całości. Bo komunikacja między poszczególnymi fragmentami bazuje wszakże na ciągłym przepływie fal energii. Zdecydowanie muszę przez to więcej jeść... Ale jest dość niezwykle i przynajmniej w pierwszym odruchu naprawdę przerażająco odgrywać historie rodem z Poe, czy Lovecrafta. Stawać się na moment zombim zamkniętym w grobowcu, albo w chłodzie kosmicznej pustki, wśród okruchów roztrzaskanej przez jakąś wojnę, lub katastrofę naturalną planety. Oczywiście ludzkich ciał to nie dotyczy, gdyż nie mają w sobie zdolności przetrwalnikowych. Po śmierci rozpad następuje natychmiast i żadna energia percepcyjna nic tu nie poradzi. Lecz ja dawno odbiegłam od antropocentryzmu i jego humanoidalnych rozszerzeń. Znałam mniej więcej palety emocji i percepcji tych Spojrzeń które nagle, przez przypadek i na moment ożywiałam.

Oczywiście nadgryzione w ten czy inny sposób układy nerwowe tych zmarłych Spojrzeń dodawały aury szaleństwa tego typu stanom. Ale było mi to potrzebne, gdyż i to jest częścią Natury, podobnie jak narodziny, radość i mądrość. Rozpad jest wiosną nowego powstawania. Ja również wyrosłam z rozkładu. Do dziś wiele z moich molekuł niesie w sobie czasoprzestrzenny ślad umarłych krów, ludzi, muszek, roślin, miliardów jednokomórkowców etc. Jestem chodzącym cmentarzem, zatem nie ma nic dziwnego w nagłym rozświetleniu struktury nieboszczyka, która rozpada się tym szybciej. Jest to zwykle chwila, moment, błysk, po czym na wszystkim kładą się dobrotliwe cienie. Rozkład i tworzenie...

Wracając do głównej myśli, postanowiłam uspokoić trochę chaos i zawładnąć, na tyle, na ile się da, obydwoma stronami medalu percepcji, ciekawości i poznania. Potrzebna mi była w tym celu wyrafinowana konstrukcja miotająca nielokalne sprzężenia kwantowe. Interakcje między sprzężonymi cząsteczkami są nie jako poza czasoprzestrzenią, gdyż schodzą do podstaw jej konstrukcji. Można wtedy mieć obok zwykłej komunikacji mniej szerokopasmowe odczucie chwili obecnej we wszystkich Spojrzeniach.

Moi przyjaciele, z których wielu już od dawna z pewnością posiadało tego typu udogodnienie, patrzyli na mnie tajemniczo. Czytałam z ich „twarzy” (bardzo często nie były to twarze), że samodzielne szukanie maszyny SK (sprzężenia kwantowego) jest swojego rodzaju dorastaniem. Dlatego jak Schoenberg 13 i kilku innych prezydentów wypełniających jego miejsce w innym czasie zaproponował/zaproponowali mi dostarczenie MSK, nie zgodziłam się. Chciałam przejść samodzielnie ten niepisany egzamin, a było to nie lada wyzwanie dla istoty, która pograżyła się w chaosie. Przede wszystkim decydowałam o wszystkim i o niczym. Wszystko już było z góry ustalone przez korytarz czasoprzestrzenny, którym musiałam przejść. Jednocześnie wciąż musiałam decydować się chwila po chwili na rzeczy, które dla większości moich przebłysków dawno już były przeszłością.

Byłam w pewnym stopniu niewolnicą wypełniającą niekończącą się i okrutnie drobiazgową ankietę na kreatywność, która pozwoli mi być skrajnie nie kreatywną. Tak to był i jest prawdziwy chaos, realny, bez żadnych romantycznych i dramatycznych upiększeń. Był przez to jeszcze bardziej romantyczny i dramatyczny..., ale jak opowiedzieć ci o (...) Czytelniku? To niemożliwe...

(434)